LOKALNIE · ANALIZA

KACZYŃSKI ŁAMIE WŁASNE POLITYCZNE DNA

Jan Fiedorczuk · 7 lutego 2022

Wbrew istniejącym podobieństwom między PiS a Zgromadzeniem Narodowym sojusz tych ugrupowań wcale nie jest oczywisty. Wprost przeciwnie, aby zawrzeć to porozumienie, PiS musiało złamać własne polityczne DNA. Mało kto zdaje sobie sprawę, jak wiele Jarosława Kaczyńskiego kosztowało, aby kilka tygodni temu w Warszawie usiąść z Marine Le Pen przy jednym stole. Od 2019 roku obserwujemy na wielu polach, jak prezes PiS, wbrew własnym intencjom, jest spychany w prawy róg sceny politycznej. Dla piłsudczyka, człowieka Solidarności i politycznego romantyka, jakim jest Kaczyński, to gorzka pigułka do przełknięcia.

Madrycki szczyt europejskich partii prawicowych w oczywisty sposób jest traktowany jako kontynuacja grudniowej imprezy organizowanej w Warszawie. Zarówno wówczas, jak i teraz najwięcej emocji (głównie liberalnych) komentatorów wzbudziła obecność Marine Le Pen. Warto postawić pytanie – jak doszło do tego, że niechętny państwom narodowym, konserwatyzmowi i endecji Jarosław Kaczyński, stał się w ostatnich latach ikoną eurosceptycyzmu i stanął w jednym szeregu z Marine Le Pen? Droga prezesa PiS od piłsudczyka, człowieka Solidarności oraz zwolennika europejskiej federacji do głównego straszaka demoliberalnych salonów jest ciekawa, wyboista i chyba dość przygnębiająca dla samego zainteresowanego.

Żoliborski inteligent

Fundamentalna narracja PiS-u, która uformowała tę partię, oparta jest na dychotomii lud kontra elity. Paradoksem jest, że sam Kaczyński, z której strony byśmy nie patrzyli, dość mizernie pasuje na wyraziciela interesów „ludu". Szczególnie tej mniej zamożnej części pochodzącej z prowincji. Doktor prawa, żoliborski inteligent, piłsudczyk i romantyk polityczny nie rezonuje zbyt dobrze z narracją o przywracaniu godności polskim rodzinom pokrzywdzonym przez neoliberalną transformację.

Po okresie działalności w Solidarności i przemianach ustrojowych Kaczyński rozpoczynał swoją drogę w III RP od umiarkowanej centroprawicy – Porozumienia Centrum (nazwa wszak nieprzypadkowa). Dopiero wyborcza porażka uświadomiła mu, że w Polsce nie ma miejsca na spolegliwą, inteligencką partię umiarkowanych konserwatystów, których cały radykalizm wyczerpuje się w haśle antykomunizm. Ta zasada jest zresztą aktualna po dziś dzień – zobaczmy, że wszelkie „letnie" prawicowe ruchy kończą jako margines polityczny. Jedyna prawica, jaka nad Wisłą ma znaczenie, to albo ta zgrupowana wokół Jarosława Kaczyńskiego, albo – od niedawna – wokół Konfederacji. Politycy pokroju Gowina czy Gwiazdowskiego, którzy nie chcą pobrudzić sobie rąk i wyjść poza swoje inteligenckie ramy, nie są w stanie zbudować trwałych ruchów politycznych.

Sam Kaczyński w obliczu politycznej porażki zaczął grawitować w bardziej prawicowe rejony sceny politycznej. Prezes PiS, nawet po tylu latach w III RP, nie był zwolennikiem państw narodowych i bronił tej formy państwowości wyłącznie dlatego, że takie podejście wymusiły na nim obiektywne okoliczności polityczne. Jeżeli jednak prześledzimy jego dotychczasową drogę, to bez problemu zauważymy jego aprobatę względem luźnej formy federacjonizmu europejskiego. Prezes PiS widzi w swoich marzeniach Europę jako mocarstwo w wymiarze geopolitycznym, prowadzące własną politykę zagraniczną, z wybieranym unijnym prezydentem etc. Podobne echa pobrzmiewają też w koncepcji Trójmorza, które w obliczu starcia z Brukselą, miało być taką „zdrową, poprawioną" Unią. Jego zwrot w stronę nacjonalizmu (czy też po prostu obrony państwa narodowego, jeżeli kogoś mierzi ten zwrot) był podyktowany konfrontacją z eurokratami, którzy coraz agresywniej interweniowali w wewnętrzne sprawy państwa polskiego. Ten konflikt narastał przy jednoczesnym lekceważeniu przez Europę zagrożenia rosyjskiego, które dla PiS zawsze miało priorytetowe znaczenie. Rusofobia, będąca pokłosiem postpiłsudczyzmu Kaczyńskiego, jest wpisana w polityczne DNA PiS. Stanowi jeden z ideowych filarów tej partii, dlatego też politycy PiS przez lata odcinali się od Marine Le Pen i Frontu Narodowego, jak również krzywo patrzyli na pozostałe antysystemowe czy eurosceptyczne ruchy w innych państwach. „Z panią Le Pen mamy tyle wspólnego, co z panem Putinem" – przekonywał Kaczyński jeszcze w 2017 roku i nie mam wątpliwości, że mówił wówczas szczerze. Porozumienie, jakie się klaruje w ostatnich miesiącach z francuskimi politykami, musi być zatem dla prezesa PiS gorzką pigułką do przełknięcia.

Proces „prawicowania" PiS-u przebiega również na innych polach. Najbardziej oczywisty przykład stanowi aborcja. Kaczyński nigdy nie był zwolennikiem zaostrzania tego prawa, a inicjatywa poselska z pytaniem do Trybunału Konstytucyjnego była spowodowana presją prawicowych organizacji oraz groźbą, że Solidarna Polska mogłaby wyciągnąć ten argument podczas ewentualnego rozłamu koalicji. Dla partii Ziobry karta pro-life stanowiłaby naturalne paliwo w 2023 roku i pozwalałaby się sytuować jako „bardziej prawdziwy" PiS, co jednocześnie rozbijałoby (i tak nadwątlony przez Konfederację) monopol Kaczyńskiego na prawicowość, który swego czasu opisywałem na Nowym Ładzie.

CZYTAJ TAKŻE: Kruszeje mit Kaczyńskiego

Tak samo zaostrzenie stosunków z Izraelem, które obserwowaliśmy w ostatnich latach, było zwrotem biegnącym wbrew poglądom prezesa PiS, który wywodzi się ze środowisk filosemickich. Mimo że Tel Awiw wprost szedł na zwarcie z Warszawą, to w szeregach PiS nadal pokutowała naiwna wiara, że jak Żydom będzie się powoli i cierpliwie tłumaczyć polskie położenie, to z pewnością zostaniemy przyjaciółmi.

Jeszcze innym przykładem może być zwrot PiS-u na prawo w perspektywie polityki kulturowo-historycznej, jaką obserwujemy od kilku lat. Mam na myśli nieśmiałe próby poszukiwania porozumienia z narodowcami i podpinanie się pod Marsz Niepodległości, jak również kolejne instytucje o profilu narodowym, którym patronuje partia Kaczyńskiego. To z jednej strony oczywiście próba pozyskania elektoratu, z drugiej jednak naturalny proces zespalania się tych grup. Podział polskiego społeczeństwa ma wymiar ekonomiczny (dziedzictwo transformacji), ale również tożsamościowy – PiS i Konfederacja reprezentują różne pokolenia, różne środowiska, ale konkretne ogólnoeuropejskie tendencje pchają je do współpracy. W perspektywie postępującej rewolucji kulturowej oraz tendencji centralistycznych w UE na krajowym podwórku jest coraz mniej miejsca do manewru. Polityka staje się coraz bardziej zero-jedynkowa, a to w naturalny sposób kieruje Kaczyńskiego na prawo. Po prostu powoli PiS musi decydować, czy woli być w jednym obozie z Grzegorzem Braunem i Krzysztofem Bosakiem, czy też z Robertem Biedroniem i Donaldem

Tuskiem.

Ktoś (nie pamiętam kto dokładnie, chyba Rafał Ziemkiewicz) stwierdził niegdyś, że Kaczyński ma kompleks, gdyż mimo iż wywodzi się z kręgów inteligenckich, to nigdy nie został przez nie zaakceptowany. Faktycznie jest on do dzisiaj czarnym kaczątkiem (pardon) polskich elit, do których zawsze się poczuwał i aspirował, a które nigdy go nie uznały za godnego siebie. Takich tematów wskazujących na jego inteligenckie skrzywienie można by wyciągać więcej (ot choćby stosunek Kaczyńskiego do praw zwierząt, jego wizja polskiej wsi rodem z lektur szkolnych, czy nawet jego pogląd na rolę Kościoła w państwie).

> Jakie by nie były rzeczywiste tego powody, to widzimy, że Kaczyński od lat ewoluuje w stronę narodowo-konserwatywnej prawicy wbrew swoim własnym poglądom.

Jeżeli chłodno spojrzeć na jego enuncjacje, to zobaczymy, że marzeniem prezesa PiS było stworzenie umiarkowanej centro-prawicy o wyraźnym lewicowym odchyleniu w kwestiach społeczno-ekonomicznych, nastawionej jednocześnie niepodległościowo (antykomunizm, rusofobia), jak i euroentuzjastycznie. Zamiast tego tworzy populistyczno-socjalne ugrupowanie o odchyleniu narodowo-katolickim napędzające wewnętrzną politykę nieustanną wojną z elitami III RP, które pozostaje w permanentnym konflikcie z Brukselą i osamotnione musi wchodzić w alianse z prorosyjskimi ugrupowaniami z zachodniej Europy.

> **Kaczyński jest *de facto* spychany na prawicę przez sam liberalny mainstream, który nie zostawia mu pola manewru.**

To jednak tylko jedna strona medalu. Aby zrozumieć, dlaczego Kaczyński zdecydował się na ideową woltę, której konsekwencją jest porozumienie ze Zgromadzeniem Narodowym, musimy przyjrzeć się też drugiej stronie.

Dyplomatyczny marazm

Gdybyśmy, podsumowując ostatnie sześć lat polityki Prawa i Sprawiedliwości, chcieli wskazać sferę, w której ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego poniosło najdotkliwszą porażkę, to byłaby to zapewne polityka zagraniczna. Właściwie ciężko tutaj wskazać jakikolwiek sukces, który miałby wymiar wykraczający poza taktyczne rozgrywki. W wymiarze strategicznym, nie licząc działań dotyczących dywersyfikacji dostaw gazu oraz sprzeciwu wobec relokacji imigrantów w 2016 roku, takich sukcesów po prostu brak. Nie mogą być do nich zaliczone ani rokowania wokół projektu Trójmorza, ani (wiecznie rozpędzająca się) budowa CPK, ani nawet „przyjaźń" ze Stanami Zjednoczonymi. Ta ostatnia kwestia dowodzi wręcz upadku polskiej dyplomacji, która wszystkie swoje aktywa skupiła nie tyle na USA, nawet nie na partii republikańskiej, co właściwie na jednej osobie – Donaldzie Trumpie. Ślepe zaangażowanie polskich władz było tak bezrefleksyjne, że nawet gdy Trump przegrał wybory, to rządzący z wielce wymownym dystansem podchodzili do nowego prezydenta USA. Polska polityka zagraniczna stała się w znacznej mierze narzędziem polityki wewnętrznej państwa.

> Można stwierdzić, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało zdegradowane do poziomu departamentu resortu spraw wewnętrznych.

Przez lata taki stan rzeczy utrzymywał się bez szczególnej szkody dla władzy Jarosława Kaczyńskiego, który zawsze deprecjonował rolę dyplomacji. Przez cztery lata PiS korzystało z parasola, jaki nad Polską rozciągnął prezydent Trump, jednak ten czas już dawno minął. Obecnie Warszawa jest skłócona z Unią Europejską, ma napięte relacje z sąsiadami oraz nie utrzymuje kontaktów z Rosją, którą traktuje jako śmiertelne zagrożenie dla własnej suwerenności. Istnienia Białorusi bodaj w ogóle staramy się nie dostrzegać, uznając to państwo za mini-Rosję, a Łukaszenkę za mini-Putina i całą naszą politykę względem Mińska sprowadzając do „szerzenia demokracji".

Najbardziej dotkliwy staje się jednak konflikt z Komisją Europejską, gdyż od kilku miesięcy widzimy, że napięcie – wbrew zapewnieniom obu stron – eskaluje i podskórnie można wyczuć, że zbliżamy się do jakiegoś rozstrzygnięcia w tej kwestii. Jak pisałem w innym miejscu, premier Morawiecki, akceptując rozwiązania grudniowego szczytu UE z 2020 roku, świadomie czy też nie, *de facto* ukręcił bicz na własne państwo.

Zanim jednak przejdziemy do ryzykownego zagrania Kaczyńskiego na gruncie europejskim, musimy cofnąć się do 2015 roku, gdy rząd Zjednoczonej Prawicy dopiero się formował.

Minister Ziobro

Tajemnicą poliszynela jest, że Zbigniew Ziobro wcale nie był dla Jarosława Kaczyńskiego wymarzonym kandydatem na stanowisko ministra sprawiedliwości. Prezes PiS miał ponoć proponować tę funkcję kolejnym osobom, jednak gdy te dowiadywały się, czego domaga się od nich lider zwycięskiego obozu, wszyscy odpowiadali – tego nie da się zrobić. Natomiast Zbigniew Ziobro powiedział, że można tego dokonać i on z chęcią poniesie „patriotyczną rewolucję" w polski wymiar sprawiedliwości.

Przejechaniu się rządowego walca przez Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i KRS patronowały dwie naczelne idee: zgodnie z pierwszą sędziowie w Polsce są w znacznej mierze źli, skorumpowani, powiązani z PRL-em, bądź też – w najłagodniejszym wariancie – po prostu leniwi; zgodnie z drugą tezą, aby system naprawić, trzeba sędziów złych wymienić na dobrych. „Dobrych", czyli naszych – nieuwikłanych ani w system komunistyczny, ani w układ III RP. Nie kwestionuję tego, że system sprawiedliwości w III RP był wadliwy, że sędziowie stworzyli państwo w państwie, że żadna z sił politycznych do tej pory nie miała odwagi i determinacji podjąć gruntownej reformy tego środowiska – to wszystko prawda. Na poziomie diagnozy Kaczyński miał wiele racji. Kilka lat temu Jan Maria Rokita przytoczył na antenie TVN24 słowa Andrzeja Rzeplińskiego, który miał stwierdzić, że „jak nie wyrwiemy sędziom Krajowej Rady Sądownictwa, to nic się nie da zrobić z polskim wymiarem sprawiedliwości". – To wszystko od lat wiedzieliśmy, tylko strach przed tym, że środowisko sędziowskie powie, że to jest zamach na niezawisłość sądów, to jest zamach na podstawowe wartości demokratyczne, paraliżował polityków – mówił wówczas Rokita.

CZYTAJ TAKŻE: Wyjałowienie III RP. Tusk, Kaczyński i taktyka spalonej ziemi

W kierownictwie Zjednoczonej Prawicy takiego strachu nie było. Problemem jest, że reforma wymiaru sprawiedliwości nie uleczyła bolączek III RP, a przy okazji dała eurokratom asumpt do ataku na Polskę.

Unijne imperium

W swoich tekstach publikowanych zarówno na portalu Nowy Ład, jak i w tygodniku „Do Rzeczy" wielokrotnie wyrażałem przekonanie, że na unijnych szczytach zapadła już decyzja dotycząca budowy jednolitego europejskiego imperium. Tutaj jedynie ograniczę się do wskazania, że ceną za powołanie takiego tworu jest likwidacja suwerennych państw narodowych współtworzących obecną UE. Dlatego też uważam, że przejmując w 2015 roku władzę, PiS był niejako skazany na wojnę z Brukselą (i póki co tę walkę o suwerenność przegrywa), niemniej wiedząc o nieuniknionym charakterze konfliktu, rządzący mogli wybrać sprzyjające sobie pole bitwy. Wymiar sprawiedliwości takim polem nie jest. Jeżeli w samej UE nie dojdzie do wielkiego przewrotu politycznego, to perspektywa dalszego starcia prezentuje się mizernie.

CZYTAJ TAKŻE: Pełzająca federalizacja. Narodziny imperium i zmierzch demokracji

Sprawa wygląda jednak jeszcze gorzej. Otóż struktura Unii jest mgławicowa i polega na nieustannym ścieraniu się interesów poszczególnych ciał, organizacji, państw. Widzieliśmy to całkiem niedawno, gdy Parlament Europejski zaskarżył do TSUE Komisję Europejską.

> Jasne granice wytyczane przez traktaty nie mają tu żadnego znaczenia, gdyż w UE panuje prawo silniejszego. PiS wybrało walkę o wymiar sprawiedliwości, której nie mogło wygrać, jednocześnie dając eurokratom powód do interwencji w naszym kraju, co z kolei usankcjonowało prymat prawa europejskiego nad polskim (wbrew oficjalnym zapisom traktatowym).

Unia zadziałała metodą faktów dokonanych. Co gorsze, teraz PiS, mimo że sytuacja wygląda coraz gorzej, nie może się z niej wycofać. Odpuszczenie sporu o Izbę Dyscyplinarną oznaczałoby przyznanie przez same polskie władze, że kraj jest podporządkowany Brukseli, co byłoby kolejnym poważnym krokiem w kierunku przeobrażenia Polski w unijny land. „Rzadko kiedy całą wolność traci się od razu" – stwierdził David Hume i ta sentencja idealnie pasuje do taktyki obranej przez Brukselę. Nikt nie powie z otwartą przyłbicą, że Polska nie ma prawa być państwem niepodległym. O naszej niepodległości będziemy solennie zapewniani każdego dnia przez eurokratów, a pod stołem krok po kroku będzie ona skrupulatnie obcinana. Dlatego zachęcanie Unii do interwencji w naszą wewnętrzną politykę, przy jednoczesnym braku sił na wygranie batalii, oznacza granie przez PiS kartą suwerenności. To nie tylko ryzykowne, ale jednocześnie wyjątkowo nieodpowiedzialne zagranie.

Na to należy nałożyć jeszcze jeden aspekt obecnej sytuacji. Prawo i Sprawiedliwość od 2019 roku niemal całą swoją propagandę (używam tego sformułowania w sensie czysto opisowym, a nie pejoratywnym) oparło na polityce socjalnej. Rosnąca inflacja i kryzys wywołany pandemią koronawirusa ścina poparcie dla partii w sposób dramatyczny. Jeżeli rządzący do 2023 roku nie poradzą sobie z rosnącymi cenami, jeżeli będą zmuszeni zredukować zasiłki, na których oparli swoje poprzednie kampanie, to jednocześnie zawiążą pętlę na własnej szyi. Mówiąc wprost – PiS potrzebuje pieniędzy z KPO.

Chaos działa znakomicie

Jak to się ma do Marine Le Pen i wielkiego zwrotu PiS na prawo w polityce międzynarodowej? Cóż, Ka-

czyński strzela z zamkniętymi oczami – nie wie, gdzie zmierza, wie tylko, że świat dramatycznie przyspiesza, a on może albo czekać bezczynnie na opadający miecz Damoklesa, albo pociągnąć za spust z nadzieją, że trafi w kata.

Na arenie międzynarodowej polski rząd został sam. W dodatku konflikt z Brukselą przybiera na sile i wszystko wskazuje na to, że Warszawa nie ma szans na jego wygranie. Jedyne co Kaczyński może zrobić to grać na ucieczkę do przodu z nadzieją, że w Unii Europejskiej wydarzy się cud i dojdzie do prawdziwego przetasowania politycznego, które osłabi tendencję federalistów.

> Prezes PiS nie tyle liczy na zmontowanie sojuszu eurosceptyków, ile po prostu ma nadzieję, że w chaosie wywołanym ewentualnym zwycięstwem Le Pen we Francji, unijna polityka stanie się nieprzewidywalna, a tym samym dla nominalnie słabszych graczy otworzą się nowe możliwości.

Zwycięstwo Le Pen jest teoretycznie niewyobrażalne, niemożliwe, jest równie prawdopodobne, jak... kilka lat temu w USA zwycięstwo Trumpa. Kaczyński po prostu stawia wszystko na jedną kartę, gdyż wie, że i tak nic nie może stracić. To nie jest żadna przemyślana strategia, to strzał na ślepo wymuszony narastającym napięciem, zbliżającymi się wyborami, pogarszającą się sytuacją gospodarczą oraz nade wszystko powracającym dręczącym pytaniem – „co z tym wszystkim zrobić?". W rozgrywce z eurokratami PiS jest na przegranej pozycji i liczy na polityczny cud. „Chaos to bezład, lecz działa znakomicie" – śpiewa Dezerter w jednym ze swoich numerów. Kaczyński liczy, że za kilka miesięcy francuski chaos wywróci europejski stolik do góry nogami, a z powstałego bezładu wyłoni się drabina, po której znajdzie drogę ucieczki.

fot: wikipedia.commos

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/kaczynski-lamie-wlasne-polityczne-dna/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć